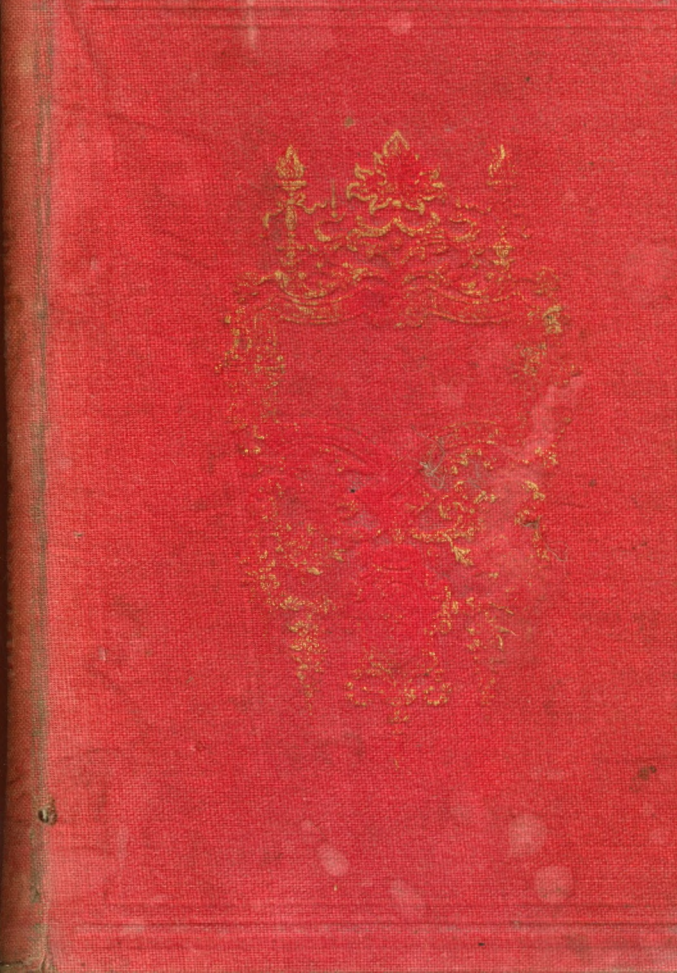








KONRAD WALLENROD.

---



# KONRAD WALLENROD.

PRZEZ

ADAMA MICKIEWICZA.



LIPSKI

F. A. BROCKHAUS.

1878.



7831 **5**

## TREŚĆ RZECZY.

---

|                             |     |
|-----------------------------|-----|
| Przedmowa . . . . .         | 1   |
| Wstęp . . . . .             | 5   |
| Obiór . . . . .             | 9   |
| Uczta . . . . .             | 37  |
| Pieśń Wajdeloty . . . . .   | 44  |
| Powieść Wajdeloty . . . . . | 49  |
| Ballada Alpuhara . . . . .  | 73  |
| Wojna . . . . .             | 79  |
| Pożegnanie . . . . .        | 89  |
| Objaśnienia . . . . .       | 103 |

---





## PRZEDMOWA.

---

Naród Litewski, składający się z pokoleń Litwinów, Prusów i Lettów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, nie dosyć żyznym, długo Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prusowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciółom, z jednej strony prowadząc ciągłą, morderczą

z Zakonem Krzyżowym wojnę, z drugiej łupiąc Polskę, wybierając opłaty Nowogroda Wielkiego, i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep Krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypadała na czasy Olgierda i Witolda, których władza rozciągała się od Bałtyckiego do Czarnego Morza. Ale to ogromne Państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość Litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoją właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń Ruskich, i weszli w stosunki polityczne z Polską. Sławianie, oddawna już chrześcianie, stali na wyższym stopniu cywilizacji; a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemnizykiem, i pochlönęli go, jak Chiny najeźdców Tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wazale stali się Polakami; wielu Książąt Litewskich

na Rusi przyjęło religję, język i narodowość Ruską. Tym sposobem Wielkie Księstwo Litewskie przestało być Litewskiem, właściwy naród Litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych, i zachowała się tylko między pospółstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytelnym wylewie opada, i płynie węższem niżeli pierwiej korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu zdarzenia: zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroższy jej nieprzyjaciół, Zakon Krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały ówczesną wojnę, już wygasły, nawet pamiątek nie ocalały pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości. Jej dzieje przedstawiają z tego względu szczęśliwy dla poezji zawód, że poeta, opiewający ówczesne wypadki, samym tylko przedmiotem history-

cznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności, lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

«Was unsterblich im Gesang soll leben,  
Muss im Leben untergehen.»

«Co ma ożyć w pieśni, zagać powinno  
w rzeczywistości.»

---

## W S T Ę P.

---

Sto lat mijało, jak Zakon Krzyżowy  
We krwi pogaństwa północnego brodził:  
Już Prusak szyję uchylił w okowy,  
Lub ziemię oddał a z duszą uchodził;  
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,  
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:  
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty,  
I szumią lasy, pomieszkania bogów;  
Po drugiej stronie, na pagórku wbity  
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,  
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,  
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona  
Chciał z góry objąć i zgarnąć pod siebie.

Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,  
 W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,  
 Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,  
 Snują się, śledząc niemieckich obrotów.  
 Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi,  
 Niemiec na koniu nieruchomy stoi;  
 Oczy utkwivszy w nieprzyjaciół szaniec,  
 Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.  
 Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,  
 Łączący bratnich narodów dzierzawy,  
 Już teraz dla nich był progiem wieczności;  
 I nikt, bez straty życia lub swobody,  
 Nie mógł przestąpić zakazanej wody.  
 Tylko gałązka litewskiego chmielu,  
 Wdziękami pruskiej topoli nęcona,  
 Pnąc się po wierzbach i po wodnem ziele,  
 Śmiała, jak dawniej wyciąga ramiona,  
 I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,  
 Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.  
 Tylko słowiki Kowieńskiej dąbrowy  
 Z bracią swojemi Zapuszczańskiej góry,  
 Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy,  
 Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,  
 Latają w gości na wspólne ostrowy.

A ludzie? — ludzi rozdzieliły boje!  
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość  
Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość  
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów,  
Śmierć i pożogę niosiące szeregi,  
I twoje dotąd szanowane brzegi  
Topor z zielonych ogołoci wianków;  
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów.  
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,  
Wszystko rozerwie nienawiść narodów;  
Wszystko rozerwie — lecz serca kochanków  
Złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty.

---





## I.

### O B I Ó R.

---

Z Marienburskiej wieży zadzwoniono,  
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono;  
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie.  
Zewsząd Komtury do stolicy śpieszą,  
Kędy, zebrani w kapituły gronie,  
Wezwawszy Ducha Świętego, uradzą,  
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,  
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.  
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,  
Bo wielu mężów staje do zawodu;  
A wszyscy równie wysokiego rodu,  
I wszystkich równe w Zakonie zasługi:  
Dotąd powszechna między bracią zgoda  
Nad wszystkich wyżej stawia Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,  
 Sławą nappełnił zagraniczne domy;  
 Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,  
 Czy Ottomana przez morskie odmęty —  
 W bitwach na czele, pierwszy był na murach,  
 Pierwszy zahaczał pohańców okręty;  
 I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,  
 Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,  
 Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,  
 Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nie tylko między Krzyżowemi rotę  
 Wsławił orężem młodociane lata,  
 Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty:  
 Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku  
 Gładkością mowy, skłonnością ukłonów;  
 Ani swej broni dla podłego zysku  
 Nie sprzedał w służbę niezgodnych baronów.  
 Klasztornym murom wiek poświęcił młody:  
 Wzgardził oklaski i górne urzędy;  
 Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,  
 Minstrelów hymny i piękności względy,  
 Nie przemawiały do zimnego ducha.  
 Wallenrod pochwał obojętnie słucha,

Na kraśne lica pogląda zdaleka,  
Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,  
Czy stał się z wiekiem? — bo choć jeszcze  
młody,

Już włos miał siwy i zwieńczone jagody,  
Napiętnowane starością cierpienia — —  
Trudno odgadnąć! Zdarzały się chwile,  
W których zabawy młodzieży podzielał,  
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,  
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,  
I sypał damom grzecznych słówek krocie,  
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.  
Były to rzadkie chwile zapomnienia;  
I wkrótce, lada słówko obojętne,  
Które dla drugich nie miało znaczenia,  
W nim obudzało wzruszenia namiętne.  
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,  
O krucyatach i o Litwie wzmianka,  
Nagle wesołość Wallenroda truły — —  
Słyszac je, znowu odwracał oblicze,  
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,  
I pograżał się w dумы tajemnicze.  
Może, wspomniawszy świętość powołania,  
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania?

Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,  
 Jednego tylko wybrał przyjaciela,  
 Świętego cnotą i pobożnym stanem:  
 Był to mnich siwy — zwano go Halbanem.  
 On Wallenroda samotność podziela:  
 On był i duszy jego spowiednikiem,  
 On był i serca jego powiernikiem.  
 Źczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,  
 Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi.

Tak naczelnicy Zakonnej obrady  
 Rozpamiętują Konrada przymioty;  
 Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?  
 Konrad światowej nie lubił pustoty,  
 Konrad pijanej nie dzielił biesiady.  
 Wszakże, zamknięty w samotnym pokoju,  
 Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,  
 Szukał pociechy w gorącym napoju;  
 I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,  
 Wtenczas twarz jego, bladą i surową,  
 Jakiś rumieniec chorowity krasił;  
 I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,  
 Które czas nieco skaził i przygasił,  
 Ciskały dawnych ogniów błyskawice;  
 Z piersi żałosne westchnienie ucieka,  
 I łąą perłową nabrzmiewa powieka,

Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,  
 Pieśni nucone cudzoziemską mową —  
 Lecz je słuchaczów serca rozumieją.  
 Dosyć usłyszeć muzykę grobową,  
 Dosyć uważać na śpiewaka postać.  
 W licach pamięci widać natężenie,  
 Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie  
 Chcące z głębin ziemnej coś wydostać.  
 Jakież być może pieśni jego wątek?  
 Zapewne myślą, w obłądnych pogoniach,  
 Ściga swą młodość na przeszłości toniach —  
 Gdzież dusza jego? — W krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie,  
 Z lutni weselszych tonów nie dobędzie;  
 I lica jego niewinnych uśmiechów  
 Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.  
 Wszystkie uderza struny po kolei,  
 Prócz jednej struny — prócz struny wesela.  
 Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,  
 Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,  
 I nadzwyczajnej dziwili się zmianie.  
 Konrad zbudzony, zżymał się i gniewał,  
 Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;

Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,  
 Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,  
 Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,  
 Straszliwie groził niewiadomo komu.  
 Trwożą się bracia — stary Halban siada,  
 I wzrok zatapia w oblicze Konrada,  
 Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,  
 Pełen jakowejś tajemnej wymowy.  
 Czy coś wspomina, czyli coś doradza,  
 Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi:  
 Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,  
 Oczy przygasza i oblicze studzi.  
 Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,  
 Sprosiwszy pany, damy, i rycerze,  
 Rozłamię kratę żelaznego dworca,  
 Da hasło trąbą: w tem królewskie zwierzę  
 Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada.  
 Jeden dozorca kroku nie poruszy,  
 Spokojnie ręce na piersiach zakłada,  
 I lwa potężnie uderzy — oczyma —  
 Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy  
 Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

---

## II.

Z Marienburskiej wieży zadzwoniono,  
Z obradnej sali idą do kaplicy,  
Najpierwszy Komtur, wielcy urzędnicy,  
Kaplani, bracia i rycerzy grono.  
Nieszpornych modłów kapituła słucha,  
I śpiewa hymny do świętego Ducha.

## HYMN.

Duchu, Światło boże!  
Gołąbko Sionu!  
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże  
Twojego tronu,  
Widomą oświeć postacią,  
I roztocz skrzydła nad Siońską bracią.



Z pod Twych skrzydeł niech wystrzeli  
 Słonecznemi promień blaski,  
 I kto najświętszej godniejszy łaski,  
 Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli!  
 A padniem na twarz syny człowieka,  
 Temu, nad kim spoczywa Twych skrzydeł  
 opieka.

Synu Zbawicielu!  
 Skinieniem wszechmocnej ręki  
 Naznacz, kto z wielu  
 Najgodniejszy słynąć  
 Świętym znakiem Twojej męki,  
 Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu Twej  
 wiary,  
 I przed oczyma pogaństwa rozwinąć  
 Królestwa Twego sztandary! —  
 A syn ziemi niech czoło i serce uniża  
 Przed tym, na czyich piersiach błysnie gwiazda  
 krzyża.

\* \* \*

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,  
 Spoczawszy nieco, powracać do choru,  
 I znowu błagać, aby Bóg oświecił  
 Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody:  
 Jedni zasiedli zamkowy krużganek,  
 Drudzy przechodzą gaje i ogrody.  
 Noc była cicha, majowej pogody;  
 Zdawał niepewny wyglądał poranek —  
 Księżyc, obiegłszy błonie szafirowe,  
 Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,  
 Drżąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,  
 Zniżał swą cichą i samotną głowę —  
 Jak dumający w pustyni kochanek,  
 Obiegłszy myślą całe życia koło,  
 Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,  
 To łzy wylewa, to spojrzy wesoło,  
 Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło  
 Skłania — i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,  
 Lecz Arcykomtur chwil darmo nie traci:  
 Zaraz Halbana i celniejszych braci  
 Wzywa do siebie i na stronę bierze,  
 Aby zdaleka od ciekawej rzeszy,  
 Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.  
 Wychodzi z zamku, na równinę śpieszy;  
 Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,  
 Błądzili kilka godzin w okolicy,  
 Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.

Już ranek; pora wracać do stolicy,  
 Stają — głos jakiś — skąd? — z narożnej wieży:  
 Słuchają pilnie — to głos pustelnicy.  
 W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,  
 Jakaś nieznana, pobożna niewiasta,  
 Zdala przybywszy do Maryi-miasta,  
 Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,  
 Czy skażonego sumienia wyrzuty,  
 Pragnąc ukoić balsamem pokuty,  
 Pustelniczego szukała ukrycia,  
 I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,  
 Wreszcie stałością prośby przełamani,  
 Dali jej w wieży samotne schronienie.  
 Lewie stanęła za święconym progiem:  
 Na próg zwałono cegły i kamienie,  
 Została sama z myślami i Bogiem;  
 I bramę, co ją od żyjących dzieli,  
 Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,  
 Kędy pobożny lud słał pożywienie,  
 A niebo, wietrzyk iienne promienie.  
 Biedna grzesznico, czyż nienawiść świata

Do tyła umysł skołatała młody,  
 Że się obawiasz słońca i pogody?  
 Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,  
 Nikt jej nie widział przy okienku wieży,  
 Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,  
 Oglądać niebo w pogodnej ozdobie,  
 I miłe kwiaty na ziemnym obszarze —  
 I stokroć miłsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu;  
 Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,  
 Gdy nocą przy jej błąka się ukryciu,  
 Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma,  
 Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki.  
 I z pruskich wiosek gdy zebrane dzieci  
 Igrają w wieczór u bliskiej dąbrowy,  
 Natenczas z okna coś białego świeci,  
 Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzeńki:  
 Czy to jej włosy pukiel bursztynowy,  
 Czyli to połysk drobnej, śnieżnej ręki,  
 Błogosławiącej niewiniątek głowy?  
 Komtur tamtędy obróciwszy kroki,  
 Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:  
 — «Tyś Konrad, przebóg! spełnione wyroki!  
 Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał!  
 Czyż nie poznają? ukrywasz daremnie,

Chociażbyś jak wąż inne przybrał ciało,  
 Jeszczeby w twojej duszy pozostało  
 Wiele dawnego — wszak zostało we mnie!  
 Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie  
 Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie.»  
 Słucha rycerstwo — to głos pustelnicy,  
 Spojrzą na kratę, zda się pochyłona,  
 Zda się ku ziemi wyciągać ramiona.  
 Do kogóż? Pusto w całej okolicy.  
 Zdaleka tylko jakiś blask uderza,  
 Naksztalt płomyka stalowej przyłbicy,  
 I cień na ziemi — czy to płaszcz rycerza?  
 Już znikło — pewnie złudzenie źrenicy,  
 Pewnie jutrzeńki błysnął wzrok rumiany,  
 Po ziemi ranne przemknęły tumany.

— «Bracia! rzekł Halban, dziękujmy nie-  
 biosom,

Pewnie wyroki niebios nas przywiodły:  
 Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.  
 Czy słyszeliście? Wieszczba o Konradzie —  
 Konrad dzielnego imię Wallenroda.  
 Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda,  
 Słowo rycerskie — na jutrzejszej radzie  
 On mistrzem naszym!» — «Zgoda, krzykną,  
 zgoda!»

I poszli krzycząc — długo po dolinie  
 Odgłos tryumfu i radości bije:  
 Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!  
 Niech żyje Zakon! niech pogaństwo zginie!

Halban pozostał mocno zamyślony,  
 Na wołających okiem wzgardy rzucił,  
 Spojrzał ku wieży, i cichemi tony  
 Taką piosenkę odchodząc zanucił:

## PIEŚŃ.

Wilija naszych strumieni rodzica,  
 Duo ma złociste i niebieskie lica:  
 Piękna Litwinka co jej czerpa wody,  
 Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w milej Kowieńskiej dolinie  
 Śród tulipanów i narcysów płynie;  
 U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów  
 Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,  
 Bo szuka Niemna swego oblubieńca;  
 Litwince nudno między Litwinami,  
 Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,  
 Niesie na skały i dzikie przestworza,

Tuli kochankę do zimnego łona,  
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzień oddali,  
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!  
I ty utoniesz w zapomnienia fali,  
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Serce i potok ostrzegać daremnie.  
Dziewica kocha, i Wilija bieży;  
Wilija znikła w ukochanym Niemnie.  
Dziewica płacze w pustelniczej wieży.

---

### III.

Gdy mistrz praw świętych ucałował księgi,  
Skończył modlitwę i wziął od Komtura  
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi,  
Wzniósł dumnie czoło, chociaż troski chmura  
Ciężyla nad nim; w koło okiem strzelił,  
W którym się radość napół z gniewem żarzy  
I — niewidziany gość na jego twarzy,  
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:  
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,  
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapal mistrza, to groźne oblicze,  
Napełnia serca otuchą, nadzieją;  
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,  
I hojnie w myśli krew pogańską leją.  
Takiemu władcy któż dostoi kroku?



Któż się nie złęknie jego szabli, wzroku?  
 Drżycie Litwini! już się chwila zbliża,  
 Gdy z murów Wilna błysnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dnie, tygodnie,  
 Upłynął cały długi rok w pokoju;  
 Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie  
 Ani sam walczy, ani śle do boju;  
 A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,  
 Stary porządek wywraca opacznie.  
 Woła że Zakon z świętych wyszedł karbów,  
 Że bracia gwałcą przysiężone śluby;  
 Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów,  
 Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.  
 Narzuca posty, pokuty, ciężary,  
 Uciech, wygody niewinnej zaprzecza,  
 Łada grzech ściga najsroższemi kary  
 Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala  
 Omijał bramy zakonnej stolicy,  
 Teraz do koła wsi co noc podpala,  
 I lud bezbronny chwyta z okolicy;  
 Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,  
 Że idzie na mszę do mistrza kaplicy —

Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu  
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!  
Litwa szarpana wewnętrzną niezgoda;  
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,  
Stąd Krymskie hany lud potężny wiodą.  
Witold zepchnięty od Jagiełły z tronu,  
Przyjechał szukać opieki Zakonu;  
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,  
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada,  
Mistrza nie widać; Halban stary bieży,  
W zamku, w kaplicy nie znalazł Konrada:  
Gdzież on? zapewne u narożnej wieży.  
Śledzili bracia nocne jego kroki;  
Wszystkim wiadomo: każdego wieczora,  
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,  
On idzie błądzić po brzegach jeziora:  
Albo klęczący, przyparty do muru,  
Okryty płaszczem, aż do białej zorzy  
Świeci zdaleka, jak posąg z marmuru,  
I przez noc całą senność go nie zmorzy.  
Często na cichy odgłos pustelni

Wstaje, i ciche daje odpowiedzi;  
 Brzmienia ich zdała ucho nie dośledzi,  
 Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,  
 Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,  
 Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

## PIEŚŃ Z WIEŻY.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?  
 Czy już tak długie przeplakałam lata,  
 Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,  
 Że od mych westchnień pordzewiała krata?  
 Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka,  
 Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,  
 Ten ogień żywią pobożne kapłany:  
 Jest wieczne źródło na górze Mendoga,  
 To źródło żywią śniegi i tumany.  
 Nikt moich westchnień i łez nie podsycą,  
 A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,  
 Zamek bogaty, kraina wesola,  
 Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia:  
 Spokojność nakształt cichego anioła,  
 We dnie i w nocy, na polu i w domie  
 Strzegła mię z bliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,  
 A mnie najpierwej żądano w zameście.  
 Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki —  
 Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?  
 Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział  
 To, o czym w Litwie nikt pierwej nie wiedział?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,  
 Kaniennych miastach, kędy wiara święta,  
 Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,  
 I kędy dziewic słuchają książęta:  
 Waleczni w boju, jak nasi rycerze,  
 Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,  
 Z duszą ulata po rokosznem niebie — —  
 Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie  
 Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie:  
 Ach, odtąd marzę w dobrych i złych losach,  
 Tylko o tobie, tylko o niebiosach.

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,  
 W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło;  
 Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,  
 Wszystko do koła uciębło, zagasło!  
 Nic nie żałuję, choć gorzkie łyzy leję,  
 Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję.

Nadzieję! cichem powtórzyły echem  
 Brzegi jeziora, doliny i knieje.  
 Zbudził się Konrad, i z dzikim uśmiechem,

— «Gdzież jestem wołał, tu słyhać nadzieje?  
 Na co te pieśni? pomnę twoje szczęście.  
 Trzy piękne córki było was u matki,  
 Ciebie najpierwej żądano w zamęcie —  
 Biada, o biada wam nadobne kwiatki!  
 Straszliwa żmija wkradła się do sadu,  
 A kędy piersią prześlizgnie się błędną,  
 Usechną trawy i róże uwiędną,  
 I będą żółte, jako piersi gadu!  
 Uciekaj myślą i dni przypominaj,  
 Którebyś dotąd pędziła wesoło,  
 Gdyby — ty milczysz? śpiewaj i przeklinaj;  
 Niechaj łza straszna, co głązy przecieka,  
 Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,  
 Tu niechaj spadnie; niech mi pali czoło,  
 Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy:  
 Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka!»

#### GŁOS Z WIEŻY.

«Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna,  
 Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,  
 I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna — —  
 Precz mi z tą pieśnią — miałażbym narzekać?  
 Z tobą, mój luby, z tobąśmy przeżyli  
 Znikomą chwilę, lecz tej jednej chwili  
 Nie będę mieniać z całą ziemian zgrają,

Na ciche życie przepędzone w nudzie.  
 Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie  
 Są jako konchy, co się w bagnie tają:  
 Ledwie raz na rok falą niepogody  
 Wypchnięte, z mętnej pokażą się wody,  
 Otworzą usta, raz westchną ku niebu,  
 I znowu wrócą do swego pogrzebu.  
 Nie, jam na takie szczęście nie stworzona!  
 Jeszcze w ojczyźnie ciche pędząc życie,  
 Nieraz w pośrodku towarzyszek grona  
 Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie,  
 I czułam serca niespokojne bicie.  
 Nieraz z poziomej uciekałam łąki,  
 I na najwyższym stanąwszy pagórku,  
 Myślałam sobie, gdyby te skowronki  
 Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,  
 Poszłabym z niemi, i tylko z tej góry  
 Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,  
 Kwiat niezabudki, a potem za chmury  
 Lecieć wysoko; wysoko! — i zniknąć.  
 Tyś mię wysłuchał, ty, skrzydły orlemi,  
 Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie.  
 Teraz, skowronki, o nic was nie proszę;  
 Bo gdzież mam lecieć, po jakie rokosze?  
 Kto poznał Boga wielkiego na niebie  
 I kochał męża wielkiego na ziemi?»

## KONRAD.

«Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele!  
 Wielkość, dla której jęczymy w niedoli.  
 Kilka dni jeszcze niech serce przeboli,  
 Kilka dni tylko, już ich tak niewiele.  
 Stało się, próżno po czasie żałować!  
 Płaczmy — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,  
 Bo Konrad płakał ażeby mordować.  
 Po coś tu przysła, po co moja droga!  
 Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?  
 Jam cię poświęcił na usługi Boga;  
 Nie lepiej było. w świętych jego murach,  
 Zdala odemnie płakać i umierać?  
 Niż tu, w krainie kłamstwa i rozboju,  
 W grobowej wieży, w powolnych torturach  
 Konać, i oczy samotne otwierać;  
 I przez niezłomne tej kraty okucia  
 Pomocy zebrać? A ja słuchać muszę,  
 Patrząc na długą skończenia katuszę,  
 Stojąc zdaleka — i kląć moją duszę,  
 Że w niej są jeszcze ostatki uczucia.»

## GŁOS Z WIEŻY.

«Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej!  
 Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,



Już nie usłyszysz! już okno zamykam,  
 Spuszczę się znowu w moją wieżę ciemną,  
 Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.  
 Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny!  
 I niech zaginie pamięć tej godziny,  
 W której nie miałeś litości nademną.»

#### KONRAD.

«Więc ty miej litość, ty jesteś aniołem!  
 Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,  
 O ten róg wieży uderzę się czołem,  
 Będę cię błagał skonaniem Kaima.»

#### GEOS Z WIEŻY.

«O miejmy litość nad sobą samemi!  
 Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,  
 Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,  
 Na morzach piasku dwie rosy kropelki;  
 Że lada wietrzyk z ziemnego padołu  
 Znikniem na zawsze — ach! gińmyż pospołu.  
 Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć;  
 Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,  
 Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,  
 Póki w niem ziemski panował kochanek.  
 Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie



Oddać dni moje zakonnice usługę;  
 Lecz tam bez ciebie, wszystko w około mnie  
 Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze!  
 Wspomniałam sobie, że po latach wielu,  
 Miałeś powrócić do Maryi-grodu,  
 Szukając zemsty na nieprzyjacielu  
 I broniąc sprawy biednego narodu.  
 Kto czeka, lata myślami ukraca,  
 Mówiłam sobie — on już może wraca,  
 Może już wrócił, czyż nie wolno żądać,  
 Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,  
 Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,  
 Abym przynajmniej umarła przy tobie?  
 Pójdę więc, rzekłam, w pustelnicznym domku,  
 Około drogi, na skały ułomku,  
 Zamknę się sama, może rycerz jaki  
 Koło mej chatki przechodzący blisko,  
 Wymówi czasem kochanka nazwisko;  
 Może pomiędzy obcemi szyszaki  
 Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroję,  
 Niechaj na tarczy obce godła kładnie,  
 Niech twarz odmieni, jeszcze serce moje,  
 Zdaleka nawet kochanka odgadnie!  
 I gdy go ciężka powinność przymusza  
 Wszystko do koła wyniszczać i krwawić,  
 Wszyscy go przeklą — będzie jedna dusza,

Co mu zdaleka śmie pobłogosławić!  
 Tu mój obrałam domek i grobowiec,  
 W cichej ustroni, kędy świętokradzki  
 Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec.  
 Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki,  
 Myślałam sobie: on może z wieczora  
 Wybieży zdala od swych towarzyszy;  
 Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,  
 Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.  
 Niebo spełniło niewinne życzenia;  
 Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia.  
 Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem  
 Sny pocieszały, choć obraz był niemy;  
 Dziś — ile szczęścia! dziś możemy razem,  
 Razem zapłakać —»

KONRAD.

«I cóż wypłaczymy?  
 Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem  
 Na wieki wieków z twojego objęcia,  
 Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,  
 Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.  
 Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo —  
 Teraz stanąłem u życzeń mych celu:  
 Mogę się zemścić na nieprzyjacielu!

A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo.  
 Odtąd, jak znowu z okna twej wieżycy  
 Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata  
 Znowu nie ma dla mojej żrenicy,  
 Tylko jezioro i wieża — i krata!  
 W koło mnie wszystko wre wojny rozruchem;  
 Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku,  
 Ja niecierpliwem, wyteżonem uhem  
 Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,  
 I dzień mój cały jest oczekiwaniem —  
 A gdy wieczornej doczekam się pory,  
 Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem.  
 Ja życie moje liczę na wieczory,  
 Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,  
 O wojnę prosi, własnej żąda zguby,  
 I mściwy Halban wytechnąć mi nie daje:  
 Albo dawniejsze przypomina śluby,  
 Wyrżnięte sioła i zniszczone kraje;  
 Albo, gdy nie chcę skargi jego słuchać,  
 Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma,  
 Umie przygasła chęć zemsty rozdmuchać.  
 Wyrok mój zda się przybliżać do końca,  
 Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.  
 Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca;  
 Z różnych stron świata niezliczone chmury  
 Nabożny zapal w pole nagromadził,

Wszyscy wołają abym ich prowadził  
 Z mieczem i krzyżem na Wileńskie mury.  
 A przecież — wyznam ze wstydem w tej chwili!  
 Kiedy się ważą narodów wyroki,  
 Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,  
 Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.  
 Młodości! jakże wielkie twe ofiary!  
 Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu  
 Umiał poświęcić dla sprawy narodu,  
 Z żalem lecz z męstwem — a dzisiaj, ja stary,  
 Dzisiaj powinność, rozpacz, woła Boża  
 Pędzą mię w pole! a ja swojej głowy  
 Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,  
 Ażeby twojej nie stracić rozmowy — !»

Umiknął — z wieży słyhać tylko jęki:  
 W milczeniu długie przeciekły godziny,  
 Noc rozrzedniała, i promyk jutrzeński  
 Już zarumienił lica cichej wody;  
 Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny  
 Ze szmerem ranne przewiewały chłody,  
 Ptaszęta cichem ozwały się pieniem,  
 Umilkły znowu — i długiem milczeniem  
 Znać dają, że się zbudziły zawczasie.  
 Konrad powstaje, wzniosł ku wieży czoło,  
 Długo na kratę poglądał boleśnie!

Słowik zanucił: Konrad na około  
Spojrzał — już ranek — opuścił przyłbicę,  
W szerokie zwoje płaszcza twarz owinął,  
Skinieniem ręki żegna pustelnicę,

I w krzakach zginął.

Tak duch piekielny od wrót pustelnika  
Na odgłos dzwonu porannego znika.

---

## VI.

### U C Z T A.

---

Był dzień patrona, uroczyste święto,  
Komtury z braćmi do stolicy jadą,  
Białe chorągwie na wieżach zatknięto.  
Konrad rycerzy ma uczyć biesiadą.

Sto białych płaszców powiewa za stołem,  
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:  
To byli bracia, a za nimi kołem  
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele — po lewicy tronu  
Wziął miejsce Witold ze swemi hetmany;  
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu.  
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już Mistrz, powstawszy, daje uczty hasło,  
 «Cieszymy się w Panu!» wnet puhary błysły.  
 «Cieszymy się w Panu!» tysiąc głosów wrzasło,  
 Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł i na łokciu wsparty,  
 Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;  
 Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty  
 Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

«Cieszymy się, rzeczce, cóż to bracia moi,  
 Także rycerzom cieszyć się przystoi?  
 Zrazu wrzask pjany a teraz szmer cichy —  
 Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

«Inne zwyczaje były za mych czasów,  
 Kiedy na pełnem trupów bojowisku:  
 Śród gór Kastylskich lub Finlandzkich lasów,  
 Przy obozowem piliśmy ognisku.

«Tam były pieśni, między waszym gminem  
 Czyż nie ma barda albo ministrela?  
 Serce człowieka wino rozwesela,  
 Ale piosenka jest dla myśli winem

Zarazem różni śpiewacy powstałi;  
 Tam Włoch, otyły słowiczemi tony,  
 Konrada męstwo i pobożność chwali;  
 Owdzie trubadur od brzegów Garony,  
 Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,  
 Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał, piosenki ustały,  
 Nagle zbudzony przerwany łoskotem,  
 Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:  
 «Mnie, rzekł, jednemu śpiewałeś pochwały,  
 Jeden nie może dać innej nagrody.  
 Weź i pójdz z oczu, ów trubadur młody,  
 Który piękności i miłości służy,  
 Niechaj daruje, że w rycerskiem gronie  
 Dziewicy nie masz, co by mu na łonie,  
 Wdzięczna, przypięła marny kwiatek róży.

«Tu róże zwiędły, innego chcę barda —  
 Zakonnik, rycerz, innej chcę piosenki;  
 Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,  
 Jak hałas rogów i oręża szczęki —  
 I tak ponura jak klasztorne ściany,  
 I tak ognista jak zalotnik pjany.



«Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,  
 Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,  
 Niechaj rozczula i gniewa, i nudzi;  
 I znowu niechaj znudzonych przestrasza.  
 Takie jest życie — taka piosnka nasza.  
 Kto ją zaśpiewa? kto?» — «Ja» odpowiedział  
 Sędziwy starzec, który u podwojów  
 Między giermkami i paziami siedział,  
 Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów:  
 Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,  
 Głowę obwiewa ostatek siwizny,  
 Czoło i oczy zakryte zasłoną  
 W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,  
 A lewą rękę wyciągał do stoła,  
 I tem skinieniem posłuchania prosił.  
 Ucichli wszyscy. — «Ja śpiewam, zawoła.  
 Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem,  
 Dziś jedni legli w ojczyzny obronie,  
 Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,  
 Dobić się wolą nad jej martwem ciałem —  
 Jak sługi wierne w dobrym i złym losie  
 Gina na swego dobroczyńcy stosie.  
 Inni sromotnie po lasach się kryją,  
 Inni, jak Witold, między wami żyją.

«Ale po śmierci, Niemcy, wy to wiecie —  
 Sami pytajcie niecných zdrajców kraju,  
 Co oni poczną, gdy na tamtym świecie  
 Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,  
 Zechcą swych przodków wywoływać z raju —  
 Jakim językiem poproszą o wsparcie?  
 Czy w ich niemieckiej barbarzyńskiej mowie  
 Głos dzieci swoich uznają przodkowie?

«O dzieci, jaka na Litwę sromota!  
 Żaden mi żaden nie przyniósł obrony,  
 Gdy od ołtarza, stary Wajdelota,  
 Byłem w niemieckich kajdanach wleczony.  
 Samotny, w obcej ziemi zestarzałem,  
 Śpiewak niestety! śpiewać nie mam komu!  
 Na Litwę patrząc, oczy wypłakałem —!  
 Dzisiaj, jeżeli chcę westchnąć do domu,  
 Nie wiem gdzie leży mój dom ulubiony,  
 Czy tam, czy ówdzie, czyli z tamtej strony.

«Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,  
 Co w mej ojczyźnie najlepszego było.  
 I te ubogie dawnych skarbów szczątki  
 Weźcie mi Niemcy, weźcie mi pamiątki.

«Jak zwyciężony rycerz na igrzysku

Zachowa życie, ale cześć utracą,  
 I, dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,  
 Znowu do swego zwyczajcy powraca —  
 I raz ostatni wyżejając ramię,  
 Broń swą pod jego stopami rozłamie:

«Tak mię ostatnia natchnęła ochota —  
 Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę:  
 Niech wam ostatni w' Litwie Wajdelota  
 Nóci ostatnią litewską piosenkę.»

Skończył, i czekał Mistrza odpowiedzi,  
 Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem,  
 Konrad badawczem i szyderczem okiem  
 Witolda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy Wajdelota  
 Mówił o zdrajcach, jak się Witold mienił,  
 Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił!  
 Dręczy go równie i gniew i sromota —  
 Nakoniec szablę ściskając u boku,  
 Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca:  
 Spojrzał na starca, zahamował kroku,  
 I chmura gniewu nad czołem wisząca,  
 Opadła nagle w bystrym łez potoku;

Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania,  
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy ścicha — «Czyliż do biesiady  
Przypuszczać mamy żebrające dziady?  
Kto słucha pieśni, i kto je rozumie?»  
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie  
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;  
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy,  
«Oto jest nōta litewskiego śpiewu.»

W tem Konrad powstał: «Waleczni rycerze,  
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,  
Od miast i książąt podarunki bierze;  
Jak winne hołdy z podległego kraju,  
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;  
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,  
Weźmijmy piosnkę, będzie to grosz wdowi.

«Pośród nas widzim książęcia Litwinów,  
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie:  
Miło im będzie pamięć dawnych czynów  
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.  
Kto nie rozumie, niechaj się oddali,  
Ja czasem lubię te posępne jęki,  
Niezrozumiałej litewskiej piosenki;

Jak lubię łoskot rozhukanej fali,  
 Albo szmer cichy wiosennego deszczu —  
 Przy nich spać miło → śpiewaj stary wieszczu.»

## PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,  
 Jej przyjście wieszczą odgadnie żrenica;  
 Bo jeżeli słuszna wajdelotom wierzyć —  
 Nieraz na pustych smętarzach i błoniach  
 Staje widomie morowa dziewica,  
 W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach:  
 Czołem przenosi białowieskie drzewa,  
 A w rękę chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,  
 A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,  
 Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi!  
 Na sioła, zamki i bogate miasta;  
 A ile razy krwawą chustką skinie,  
 Tyle pałaców zmienia się w pustynie;  
 Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! — ale więcej zguby  
 Wróżył Litwinom od niemieckiej strony.  
 Szyszak, błyszczący ze strusiami czuby,  
 I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,  
 Niczem jest klęska wiosek albo grodów:  
 Cała kraina w mogiłę zapadła.  
 Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,  
 Pójdź do mnie, siądzem na grobie narodów,  
 Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.

O wieści gminna, ty arko przymierza  
 Między dawnemi i młodszemi laty,  
 W tobie lud składa broń swego rycerza,  
 Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym nie złamana ciosem,  
 Póki cię własny twój lud nie znieważy —  
 O pieśni gminna, ty stoisz na straży  
 Narodowego pamiątek kościoła,  
 Z archanielskimi skrzydłami i głosem —  
 Ty czasem dzierżysz i broń archaniola!

Płomień rozgryzie malowane dzieje,  
 Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,

Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega —  
 A jeżeli podle dusze nie umieją  
 Karmić jej żalem i poić nadzieją,  
 Ucieka w góry, do gruzów przylega,  
 I stamtąd dawne opowiada czasy.  
 Tak słowik z ogniem zajętego gmachu  
 Wyleci, chwilę przysiadzie na dachu:  
 Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,  
 I brzmiać piersią na zgłiszcza i groby  
 Nóci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek — nieraz kmieć stoletni,  
 Trącając kości żelazem oraczem,  
 Stanął, i zagrał na wierzbowej fletni  
 Pacierz umarłych; lub rymowym płaczem  
 Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.  
 Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala:  
 Tem mocniej widok i piosnka rozżala,  
 Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła  
 Umarłą przeszłość trąba archaniola,  
 Tak na dźwięk pieśni, kości z pod mej stopy  
 W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.  
 Z gruzów powstają kolumny i stropy,  
 Jeziora puste brzmia licznymi wiosły,

I widać zamków otwarte podwoje,  
 Korony książąt, wojowników zbroje —  
 Śpiewają wieszczę, tańczy dziewic grono!  
 Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono — —

Zniknęły lasy i ojcyste góry.  
 Myśl, znużonemi ulatując pióry,  
 Spada, w domową tuli się zaciszę.  
 Lutnia umilkła w otrętwiałem ręku;  
 Śród żalosego spółrodaków jęku,  
 Często przeszłości głosu nie dosłyszę —  
 Lecz dotąd iskry młodego zapalu  
 Tlą w głębi piersi — nieraz ogień wzniecą,  
 Duszę ożywią, i pamięć oświecą.  
 Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,  
 Ubrana pędzlem w malowne obrazy,  
 Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,  
 Jeżeli świecznik postawisz w jej serce:  
 Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,  
 Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy  
 Krasne, acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać  
 W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci  
 Zmarłej przeszłości: gdybym umiał strzelać  
 Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;



Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,  
 Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,  
 Uczuli w sobie dawne serca bicie,  
 Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,  
 I chwilę jedną tak górnie przeżyli,  
 Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Lecz po co zbiegłe wywoływać wieki?  
 I swoich czasów śpiewak nie obwini —  
 Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki,  
 O nim zaśpiewam — uczcie się Litwini!

\* \* \*

Umilknął starzec i do koła słucha,  
 Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać;  
 W sali do koła była cichość głucha,  
 Ta zwykła wieszczów na nowo zagrzewać.  
 Zaczął więc piosnkę, ale innej treści,  
 Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,  
 Po strunach słabiej i rzadziej uderzał —  
 I z hymnu schodził do prostej powieści.

## POWIEŚĆ WAJDELOTY.

Zkąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wy-  
 cieczki,  
 Wieźli łupy bogate w zamkach i cerkwiach  
 zdobyte,  
 Tłumy branców niemieckich z powiązanemi  
 rękami,  
 Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach  
 zwycięzców:  
 Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami,  
 Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu!  
 W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie  
 Peruna —  
 Tam książęta Litewscy, gdy po zwycięztwie  
 wracają,  
 Zwyczajli rycerzy niemieckich palić na stosie  
 ofiarnym.  
 Dwaj rycerze pojmanijadą bez trwogi do Kowna,  
 Jeden młody i piękny, drugi latami schylony;  
 Oni samiśród bitwy, hucen niemieckierzuciwszy,  
 Między Litwinów uciekli — książę Kiejstut ich  
 przyjął;  
 Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.  
 Pyta z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli.

«Nie wiem, rzecz młodzienc, jaki mój ród i  
nazwisko,

Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę  
schwytany.

Pomnę tylko że kędyś w Litwie, wśród miasta  
wielkiego

Stał dom moich rodziców; było to miasto dre-  
wniane,

Na pagórkach wzniosłych: dom był z cegły  
czerwonej.

W koło pagórków na błoniach puszcza szumiała  
jodłowa,

Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.  
Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu prze-  
budził,

Dzień ognisty zaświecił w okna, trzaskały się  
szyby

Kłęby dymu buchnęły po gmachu, wybiegliśmy  
w bramę —

Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem,  
Krzyk okropny: do broni! Niemcy są w mieście,  
do broni!

Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie  
wrócił.

Niemcy wpadli do domu, jeden wypuścił się za  
mną,

Zgonił, porwał mię na koń; nie wiem co stało  
się dalej.

Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem,  
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu:  
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał  
w mem uchu.

Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,  
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini  
Za odgłosem piorunu; oto jest wszystko co  
z Litwy,

Co od rodziców wywiozłem. W sennych nie-  
kiedy marzeniach

Widzę postać czarowną matki i ojca i braci,  
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza  
Coraz grubsza, i coraz ciemniej zasłania ich  
rysy.

Lata dzieciństwa płynęły, żyłem wśród Niemców  
jak Niemiec —

Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano;  
Imię było niemieckie, dusza litewska została —  
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nie-  
nawiść.

Winrych, mistrz Krzyżacki, chował mię w  
swoim pałacu,

On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił  
jak syna.

Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha  
 uciekał  
 Do Wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy  
 Niemcami  
 Był Wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed  
 laty,  
 Służył tłumaczem wojsku; ten gdy się o mnie  
 dowiedział,  
 Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,  
 Rozповідаł o Litwie, duszę stęsknioną otrzeź-  
 wiał  
 Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej, i pie-  
 śnią.  
 On mię często ku brzegom Niemna sinego pro-  
 wadził:  
 Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglą-  
 dać.  
 Gdyśmy do zamku wracali, starzec łązy mi  
 ocierał,  
 Aby nie wzbudzić podejrzeń; łązy mi ocierał, a  
 zemstę  
 Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w za-  
 mek wróciwszy,  
 Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty roskoszą  
 Rznąłem kobierce Winrycha, lub kaleczyłem  
 zwierciadła,

Na tarcz jego błyszczącą piasek miotalem i  
plwalem.

Potem w latach młodzińczych częstośmy z por-  
tu Kłajpedy

W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie od-  
wiedzać.

Rwalem kwiaty ojczyste! a czarodziejska ich  
wonia

Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspo-  
mnienia.

Upojony tą wonią, zdało się że dziecinnialem,  
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igralem ma-  
łymi.

Starzec pomagał pamięci; on piękniejszymi sło-  
wami

Niżli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą ma-  
lował;

Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i kre-  
wnych

Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich  
Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach  
Zakonu!

To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach  
Połagi,

Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się  
morze,

I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:  
Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej  
kobierce,

Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące?  
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne po-  
krycie,

Ach! daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,  
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija,  
I rozciąga do koła dzikiej królestwa pustyni.  
Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,  
To są ludy podbite, bracia to nasi Litwini!  
Synu, piaski z za morza burzą pędzone — to  
Zakon. —

Serce bolało słuchając — chciałem mordować  
Krzyżaków,

Albo do Litwy uciekać; starzec hamował za-  
pędy,

Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać  
orężę,

I na polu otwartem bić się równemi siłami.  
Zostań jeszcze i przyjmij sztuki wojenne od  
Niemców,

Staraj się zyskać ich ufność, dalej obaczym co  
począć.

Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami  
Teutonów,

Ale w pierwszej potyczce ledwie obaczył cho-  
ragwie,

Ledwie narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,  
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przy-  
wodzę.

Jako sokoł wydarty z gniazda i w klatce żywiony,  
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum,  
I puszczają, żeby braci sokołów wojował,  
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie  
oczyma

Po niezmiernych obszarach swej błękitnej oj-  
czyzny —

Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych  
skrzydeł usłyszy;

Pójdź myśliwcze do domu, z klatką nie czekaj  
sokoła.»

Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał cie-  
kawie — słuchała

Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.  
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wie-  
czory;

Kiejstutowna jak zwykle w siostr i rówiennic  
orszaku,

Za krośnami usiada, albo się bawi przedziwem;  
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,



Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich,  
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter po-  
wiedział,

Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;  
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie po-  
wtarza.

Walter mówił jak wielkie zamki i miasta za  
Niemnem,

Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,  
Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze,  
A dziewice z krąganków patrzą i wieńce przy-  
znają.

Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za  
Niemnem,

I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,  
Której postać anielską — w cudnym pokazał  
obrazku.

Tem obrazek młodzieniec nosił pobożnie na  
piersiach:

Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,  
Gdy pacierze z nią mówił, chciał wszystkiego  
nauczyć,

Co sam umiał. Niestety, on ją i tego nauczył,  
Czego dotąd nie umiał — on nauczył ją kochać!  
I sam uczył się wiele. Z jakim rokosznem  
wzruszeniem

Słyszał z ust jej litewskie już zapomniane wyrazy.  
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się  
nowe uczucie,

Jako iskra z popiołu, były to słodkie imiona  
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i  
jeszcze

Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości,  
któremu

Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu —  
Ojczyzna.

Skądże, pomyślał Kiejstut, nagle w mej córce  
odmiana?

Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne  
rozrywki?

W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się  
tańcem,

Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.  
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub  
krośną,

Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krośnach,  
Sama nie widzi co robi; wszyscy mi to powiadają.  
Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła  
zielono,

A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem. Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli

Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają.  
 Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;  
 Skąd powraca? z doliny; cóż w tej dolinie?

Młodzieniec

Ogród dla niej zasadził. Jestże ten ogród pię-  
 kniejszy,

Niżli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał  
 sady,

Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich  
 pełną).

Nie ogródek to wabi; zimą widziałem jej okna,  
 Cała szyba tych okien, co obrócone do Nie-  
 mna,

Czysta jakby wśród maja, lód nie zacienił kry-  
 ształu;

Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna  
 I gorącem westchnieniem lody na szybach sto-  
 piła.

Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,  
 Słyszając że wszyscy książęta dzieci swe uczyć  
 zaczęli;

Chłopiec dobry, waleczny, jak książdz w pismach  
 ćwiczony,

Mamże go z domu wypędzić? on tak potrzebny  
 dla Litwy;

Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,

Broń piorunową urządza, jeden mi staje za  
wojsko!  
Pójdź Walterze, bądź zięciem moim i bij się za  
Litwę!

Walter pojał Aldonę — Niemcy, wy pewnie  
myślicie,  
Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych  
romansach  
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur pio-  
senkę —  
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.  
Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szla-  
chetną;  
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było  
w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanócił sko-  
wronek,  
Innym krajom skowronek miłość i rozkosz ob-  
wieszcza,  
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie.  
Ciągną szeregi krzyżoweniezliczonemi tłumami,  
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanoi  
Wojska mnogiego hałasy, chrzest zbrój, rżenia  
rumaków.

Jak mgła spuszcza się obóz , błonia szeroko  
zalega,

Tu i owdzie migocą straży naczelnych proporce,  
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na  
brzegu ,

Mosty po Niemnie rzucili, Kowno do koła ob-  
legli.

Dzień w dzień od taranów wałą się mury i baszty,  
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak  
krety.

Pod niebiosami ognistym unosi się bomba po-  
lotem ,

I jak sokoł na ptaki z góry na dachy uderza.  
Kowno w gruzy runęło ; Litwa do Kiejdan u-  
chodzi ;

W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i  
lasach

Broni się ; Niemcy dalej ciągną plądrując i paląc.  
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni  
w odwrocie !

Kiejstut zawsze spokojny, od dzieciństwa przy-  
wyknął

Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać,  
uciekać.

Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niem-  
cami walczyli ;

Idąc w ślady swych przodków bił się i nie dbał  
o przyszłość.

Inne były Waltera myśli. Chowany wśród Niem-  
ców,

Znał potęgę Zakonu; wiedział, że mistrza we-  
zwanie

Z całej Europy wyciąga skarby, oręż i wojska.  
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków  
Teutony.

Litwa pierwszej czy później równej ulegnie kolei;  
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszło-  
ścią Litwinów.

«Synu, Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś pro-  
rokiem;

Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie po-  
kazać.

Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,  
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.

Cóż poczniemy z Niemcami?» — «Ojcze, Walter  
powiadał,

Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny  
niestety!

Może kiedyś objawię.» Tak rozmawiali po bi-  
twie,

Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom  
wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter tak mocno  
zmieniony!

Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbyt cennie  
wesoły,

W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok za-  
myślenia

Lice jego przysłania! — ale w objęciach Aldony  
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne;  
Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał  
wejrzeniem.

Teraz zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;  
Cały ranek przed domem z założonemi rękami,  
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i  
wiosek,

Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się ze  
snu,

I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.  
«Mężu drogi, co tobie?» pyta ze łzami Aldona;  
— «Co mnie? będę z spokojnie drzemał, aż  
Niemcy napadną

I sennego zwiąawszy, w ręce katowskie od-  
dadzą?»

— «Boże uchwaj, mężu! strażę pilnują oko-  
pów.»

— «Prawda, strażę pilnują, czuwam i szablę  
mam w ręku,

Ale kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla —  
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości do-  
żyję —»

«Bóg nam zdarzy pociechę z dzietek» — «W tem  
Niemcy napadną,

Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,  
I nauczają wypuszczać strzałę na ojca własnego.  
Ja sam możebym ojca, możeby braci mordował,  
Gdyby nie Wajdelota.» — «Drogi Walterze,  
ujedźmy

Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od  
Niemców.»

— «My odjedziem, a inne matki i dzieci zo-  
stawim?

Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie do-  
gonił:

Jeśli nas w górach wysledzi?» — «Znowu dalej  
ujedziem.»

— «Dalej? dalej, nieszczęsna? dalej ujedziem  
za Litwę?

W ręce Tatarów, lub Rusi?» Na tę odpowiedź  
Aldona

Pomieszana milczała; jej zdawało się dotąd,  
Że ojczyzna jak świat długa, szeroka bez końca.  
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było  
schronienia,



Załamawszy ręce, pyta Waltera: co począć?  
 — «Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Li-  
 twinom,  
 Skruszyć potęgę Zakonu. Mnie ten sposób wia-  
 domy.  
 Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przekłeta go-  
 dzina,  
 W której od wrogów zmuszony, chwycę się tego  
 sposobu.»  
 Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie  
 słuchał,  
 Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed  
 sobą —  
 Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu kar-  
 miony  
 Klęsk i cierpień widokiem, wzdał się i serce  
 ogarnął:  
 Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne  
 uczucie,  
 Dotąd mu żywot słodzące, nawet uczucie mi-  
 łości!  
 Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi  
 Ogień tajemny wzniciwszy, rdzeń głęboko  
 wypalą,  
 Wkrótce lasów monarcha straci swe liście po-  
 wiewne,

Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,  
 Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach  
 błądzili,  
 Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.  
 Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,  
 Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej  
 poległo,  
 Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.  
 Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za  
 morza;  
 Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się  
 w góry,  
 Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tarczami,  
 Kurzem, posoką okryci, weszli posepni do domu.  
 Walter nie spojrzał na żonę, słowa do niej nie  
 wyrzekł.  
 Po niemiecku z Kiejstutem i Wajdelotą rozmawiał.  
 Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło  
 Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli obradę,

Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wej-  
rzenie.

Walter patrzył najdłużej z niemej wyrazem roz-  
paczy —

Wtem gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się  
z oczu.

Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca,  
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego!  
«Biada, mówił, niewiastom, jeżeli kochają sza-  
leńców,

Których oko wybiegać lubi za wioski granice,  
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach  
ulatują,

Których sercu nie może szczęście domowe wy-  
starczyć!

Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie;  
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem  
jaszczurek.

Daruj luba Aldono! dzisiaj chcę w domu po-  
zostać,

Dzisiaj o wszystkim zapomnę, dzisiaj będziemy  
dla siebie,

Czem bywaliśmy dawniej. Jutro — —» i nie  
śmiał dokończyć.

Jaka radość Aldonie; zrazu myśli nieboga,  
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły,



Darmo się pytać, Aldona patrzy, czeka nie-  
 pewna,  
 I wyszedłszy z komnaty jeszcze przez szpary  
 przegląda.  
 Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary,  
 I Wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwie wschodziło, tętnią po bruku  
 kopyta,  
 Dwaj rycerze z tumanem rannym spieszą się  
 w góry.  
 Wszystkieby straże zmylili, jednej nie mogli  
 omylić.  
 Czujne są oczy kochanki, zgadła ucieczkę Al-  
 dona!  
 Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spo-  
 tkanie.  
 «Wróć się, o luba, do domu, wróć się! ty bę-  
 dziesz szczęśliwa!  
 Może będziesz szczęśliwą w lubej rodziny ob-  
 jęciach;  
 Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, za-  
 pomnisz!  
 Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę;  
 Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim czło-  
 wieku,

Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i  
ciebie.

Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade-  
mną.

Walter wszystko utracił, Walter sam jeden po-  
został,

Jako wiatr napustyni; błąkać się musi po świecie,  
Zdradzać, mordować, i potem ginąć śmiercią  
haniebną.

Ale po latach ubiegłych, imię Alfa na nowo  
Zabrzmi w Litwie, i kiedyś z ust wajdelotów  
posłyszysz

Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomy-  
ślisz,

Ze ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnie  
okryty,

Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś mał-  
żonkiem;

I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroc-  
twa.»

Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy  
ni słowa.

«Jedziesz, jedziesz!» krzyknęła, i zatrwożyła  
się zama

Słowem jedziesz — to jedno słowo brzmiało  
w jej uchu!

Nic nie myślała, o niczem pomnieć nie mogła:  
jej myśli,

Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko spletało  
się tłumnie,

Ale sercem odgadła że niepodobna powracać,  
Że niepodobna zapomnieć. Oczy zbłąkane to-  
czyła,

Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie;  
W tem wejrzeniu już dawnej nie znajdowała  
pociechy,

I zdawała się szukać czegoś nowego: i w koło  
Oglądała się znowu, w koło pustynie i lasy;  
W środku lasu samotna błyszczy za Nienimem  
wieżycą,

Był to klasztor zakonnic, chrześcijan smutna  
budowa.

Na tej wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony,  
Jak gołąbek, porwany wiatrem wśród morskiej  
topieli,

Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.  
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią w mil-  
czeniu,

Opowiedział swój zamiar, tać przed światem  
nakazał,

I u bramy — niestety! straszne to było roz-  
stanie. —

Alf z Wajdelotą pojechał; dotąd nic o nich nie  
słyszeć.

Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi;  
Jeżeli, zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony  
zatruwszy —

Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił —  
Przyszłość resztę pokaże — Niemcy, skończy-  
łem piosenkę.

Koniec, już koniec — wielki szmer na sali,  
I cóż ów Walter? jakie jego czyny?  
Gdzie? nad kim zemsta? słuchacze wołali —  
Mistrz tylko jeden wśród szumnej drużyny  
Siedział milczący z pochyloną głową,  
Mocno wzruszony, porywa co chwila —  
Puhary z winem i do dna wychyla.  
W jego postaci zmianę widzieć nową,  
Różne uczucia w nagłych błyskawicach  
Po rozpalonych krzyżują się licach.  
Coraz to groźniej czoło mu się chmurzy,  
Usta drżą sine, obląkane oczy  
Latają niby jaskółki wśród burzy.  
Wreszcie płaszczy rzucił i na środek skoczy:  
«Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec śpiewaj,



Albo daj lutnię. Czego drżący stoisz?  
 Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,  
 Zaśpiewam koniec, jeśli ty się boisz.

«Znam ja was, każda piosnka wajdeloty  
 Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie;  
 Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,  
 Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.  
 Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka  
 Nakształt gadziny obwija pierś dziecka,  
 I wlewa w duszę najsroźsze trucizny  
 Głupią chęć sławy i miłość ojezyny.

«Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,  
 Jak zabitego cień nieprzyjaciela,  
 Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,  
 Aby krew mieszać w puhary wesela.  
 Słuchałem pieśni, za nadto niestety! —  
 Stało się, stało; znam cię zdrajco stary —  
 Wygrałeś! wojna, tryumf dla poety!  
 Dajcie mi winą, spełnią się zamiary!

«Wiem koniec pieśni, nie — zaśpiewam inną!  
 Kiedy walczyłem na górach Kastyli,  
 Tam mnie Maurowie ballady uczyli,  
 Starcze, graj nôtę, tę nôtę dziecinną,

Którą w dolinie — o! był to czas błogi —  
 Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić.  
 Wracajże starcze, bo przez wszystkie bogi  
 Niemieckie, pruskie — » Starzec musiał wrócić,  
 Uderzył lutnię i głosem niepewnym  
 Szedł za dzikimi tonami Konrada.  
 Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,  
 Rycerzy długa uśpiła biesiada;  
 Lecz Konrad śpiewa, budzą się na nowo,  
 Stają i w szczupłym ścisnąwszy się kole,  
 Pilnie zważają każde pieśni słowo.

## BALLADA.

### ALPUHARA.

Już w gruzach leżą Maurów posady,  
 - Naród ich dźwiga żelaza,  
 Bronią się jeszcze twierdze Grenady,  
 Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary  
 Almanzor z garstką rycerzy,  
 Hiszpan pod miastem zatknął sztandary.  
 Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiżę  
 Rwą się okopy, mur wali,  
 Już z minaretów błysnęły krzyże,  
 Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe rotę  
 Zbite w upornej obronie,  
 Przerznął się między szable i groty,  
 Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie  
 Pomiedzy gruzy i trupy  
 Zastawia ucztę, kąpie się w winie,  
 Rozdziela braniec i łupy.

W tem straż odźwierna wozom donosi,  
 Ze rycerz obcej krainy  
 O posłuchanie co rychlej prosi,  
 Ważne przywożąc nowiny.

Był to Almanzor król muzułmanów;  
 Rzucił bezpieczne ukrycie,  
 Sam się oddając w ręce Hiszpanów —  
 I tylko błaga o życie.

«Hiszpanie wola, na waszym progu  
 Przychodzę czołem uderzyć,  
 Przychodzę służyć waszemu Bogu,  
 Waszym prorokom uwierzyć.

«Niechaj rozgłosi sława przed światem,  
 Że Arab, że król zwalczony,  
 Swoich zwycięzców chce zostać bratem —  
 Wassalem obcej korony.»

Hiszpanie mężtwo cenić umieją :

Gdy Almanzora poznali.

Wódz go uściskał, inni koleją

Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,

Wódza najczulej uściskał,

Objął za szyję, za ręce chwycił,

Na ustach jego zawisnął.

A w tem osłabnął, padł na kolana,

Ale rękami drżącemi,

Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,

Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał do koła, wszystkich zadziwił,

Zbladłe, zsiniałe miał lice,

Śmiechem okropnym usta wykrzywił,

Krwia mu nabiegły żrenice.

« Patrzcie, o giaury ! jam siny, błądy,

Zgadnijcie, czym ja posłem ?

Jam was oszukał — wracam z Grenady,

Ja wam zarazę przyniosłem.

« Pocałowaniem wszczepilem w duszę

Jad, co was będzie pożerać —

Pójdźcie i patrzcie na me katusze :

Wy tak musicie umierać ! »

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,

Chciałby uściśnieniem wiecznem

Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona ;

Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki  
 Jeszcze się usta nie zwarły,  
 I śmiech piekielny został na wieki  
 Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli.  
 Dżuma za nimi wślad biegła,  
 Z gór Alpuhary nim się wywlekli,  
 Reszta ich wojska poległa.

«Tak to przed laty mścili się Maurowie,  
 Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?  
 Cóż? jeśli kiedy uści się w słowie,  
 I przyjdzie mięszać zarazę do wina —  
 Ale nie — o nie! — dziś inne zwyczaje;  
 Książę Witołdzie, dziś litewskie pany  
 Przychodzą własne oddawać nam kraje,  
 I zemsty szukać na swój lud znękanym!

«Przecież nie wszyscy — o! nie, na Peruna!  
 Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiewam —  
 Precz mi z tą lutnią — zerwała się struna  
 Nie będzie pieśni — ale się spodziewam,  
 Że kiedyś będą — — dziś — zbyt puławy —

Za nadto piłem — ciescie się — i bawcie.  
A ty Al. . . . manzor — precz mi z oczu stary —  
Precz mi z Albanem — samego zostawcie.»

Rzekł, i niepewną powracając drogą,  
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,  
Jeszcze coś groził, uderzywszy nogą  
Stół z pułharami i winem wyrzucił.  
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła  
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął,  
I drżące usta piana mu okryła,  
I zasnął — —

Rycerze chwilę w zadumieniu stali,  
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,  
Że gdy się winem zbyt mocno zapali,  
W dzikie zapęły, w bezprzytomność wpada.  
Ale na uczcie! publiczna sromota;  
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym  
gniewie!  
Kto go podniecił? gdzie ów Wajdelota.  
Wymknął się z ciżby, i nikt o nim nie wie.

Były powieści że Halban przebrany  
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał,

Że tym sposobem znowu chrześcijany  
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.  
Ale skąd w Mistrzu tak nagle odmiany?  
Za co się Witołd tak srodze rozgniewał?  
Co znaczy Mistrza dziwaczna ballada?  
Každy w domysłach nadarennie bada.

---

## V.

### W O J N A.

---

Wojna — już Konrad hamować nie zdoła  
Zapędów ludu i nalegań rady;  
Dawno już cały kraj o pomstę woła,  
Za Litwy napaść i Witolda zdrady.

Witold, co wsparcia u Zakonu zebrał,  
Dla odzyskania Wileńskiej stolicy;  
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,  
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,  
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,  
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów leżące po drodze,  
Wszedł z wymyślonym od Mistrza rozkazem,



A potem oręż wydarłszy załodze,  
 Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.  
 Zakon i wstydem i gniewem zagrzany,  
 Krzyżową wojnę podniósł na pogany.  
 Wychodzi bulla — morzem, lądem płyną  
 Nieprzeliczone wojowników roje,  
 Moźni książęta, z wassalów drużyną,  
 Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje,  
 A każdy na to swe życie poślubił,  
 Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili?  
 Jeźliś ciekawy, wynijdź na okopy,  
 Spójrzij ku Litwie, gdy się dzień nachyli,  
 Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy  
 Krwawym płomieni ruczajem obleje —  
 Oto są wojen napastniczych dzieje!  
 Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga  
 I blask, co głupie rozwesela zgraje,  
 A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje  
 Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły  
 Rycerze dalej w głąb Litwy zabiegli,  
 Słysząc, że Kowno, że Wilno oblegli!  
 W końcu ustały i wieści i posły.

Już w okolicy nie widać płomieni,  
 I niebo coraz dalej się czerwieni.  
 Darmo Prusacy z podbitej krainy  
 Brańców i mnogich łupów wyglądają;  
 Darmo ślą częstych gońców po nowiny,  
 Śpieszą się gońcy, i — nie powracają.  
 Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,  
 Radby doczekać chociażby rozpaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci  
 Huczą po górach, zawalają drogi,  
 I znowu zdala na niebiosach świeci  
 Północne zorze? czy wojny pożogi?  
 Coraz widoczniej razi blask płomieni,  
 I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Marienburga lud patrzy ku drodze,  
 Już widać zdala — kopie się przez śniegi  
 Kilku podróżnych — Konrad? nasi wodze?  
 Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?  
 Gdzie reszta pułków? Konrad wzniósł prawicę,  
 Pokazał dalej ciżbę rozproszoną;  
 Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę.  
 Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;  
 Walą się, depcą jak podłe owady  
 W ciasnem naczyniu ginące pospołu;

Pną się po trupach, nim nowe gromady  
 Dźwignionych znowu potracą do dołu.  
 Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,  
 Ci w biegu nagle przystygli do drogi;  
 Lecz ręce wznoszą, i stojące trupy  
 Wskazują w miasto jak podrózne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,  
 Lękał się zgadnąć, i o nic nie pytał,  
 Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy  
 W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.  
 Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,  
 Harpija głodu ich lica wyssała.  
 Tu słyhać trąby litewskiej pogoni,  
 Tam wicher toczy kłęb śniegu po błoni;  
 Opodal wyje chuda psów gromada,  
 A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił,  
 On, co z oręża takiej nabył chwały!  
 On, co się dawniej roztropnością chlubił;  
 W ostatniej wojnie lękliwy, niedbały,  
 Witolda chytrych sideł nie dostrzegał,  
 A oszukany, chęcią zemsty ślepy,  
 Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,  
 Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.

Kiedy strawiono dobytki i plony,  
 Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,  
 A nieprzyjaciół w koło rozproszony  
 Niszczył posiłki, przecinał dowozy —  
 Codziennie z nędzy marły Niemców krocie:  
 Czas było szturmem położyć kres wojny,  
 Albo o rychłym zamyślać odwrocie.  
 Wtenczas Wallenrod ufny i spokojny  
 Jeździł na łowy, albo w swym namiocie  
 Zamknięty, knował tajemne układy,  
 I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnał,  
 Że ludu swego niewzruszony łzami,  
 Miecza na jego obronę nie dźwignął;  
 Z założonemi na piersiach rękami,  
 Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał.  
 Tymczasem zima nawaliła śniegi,  
 I Witołd, świeże zebrawszy szeregi,  
 Oblegał wojsko, na obóz napadał.  
 O hańbo w dziejach męznego Zakonu!  
 Wielki Mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy:  
 Zamiast wawrzynów i sutego plonu,  
 Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy.

Czyście widzieli, gdy z tego pogromu.

Wojsko upiorów prowadził do domu?  
 Ponury smutek czoło jego mroczy.  
 Robak boleści wywijał się z lica;  
 I Konrad cierpiał — ale spojrzij w oczy:  
 Ta wielka, napół otwarta źrenica  
 Jasne z ukosa miotła pociski,  
 Niby kometa grożący wojnami,  
 Co chwila zmienna, jak nocne połyski,  
 Któremi szatan podróznego mamia —  
 Wściekłość i radość łącząc razem,  
 Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Drżał lud i szemrał, Konrad nie dbał o to;  
 Zwołał na radę niechętnych rycerzy;  
 Spojrzał, przemówił, skinął — o sromoto!  
 Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;  
 W błędach człowieka widzą sądy Boga,  
 Bo kogo z ludzi nie przekona — trwoga?

Stój dumny władco! jest sąd i na ciebie.  
 W Marienburgu wiem ja loch podziemny;  
 Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,  
 Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali,  
 I w dzień i w nocy się jaskrawo pali,

Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,  
 Na tronie ustaw księga tajemnicza!  
 Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi,  
 Wszystkich maskami zamknięte oblicza —  
 W lochach od gminnej ukryli się zgrai,  
 A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,  
 Karać potężnych swoich władców zbrodnie,  
 Nazbyt gorszące lub ukryte światu.  
 Skoro ostatnia uchwała zapadnie,  
 I rodzonemu nie przepuszczą bratu;  
 Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,  
 Na potępionym dopełnić wyroku:  
 Sztylety w rękę, rapiery u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,  
 I stojąc z mieczem przed księgą Zakonu,  
 Rzekł: — «Straszliwi sędziowie!  
 Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:  
 Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie.  
 Nie jest Wallenrodem.

Kto on jest? niewiadomo. Przed dwunastu laty  
 Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie  
 krainy.

Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,  
 Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.

Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści  
zginął;

Ów giermek, podejrzany o jego zabicie

Z Palestyny uszedł skrycie

I ku hiszpańskim brzegom zawinął.

Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa  
dowody,

I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,

A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.

Przyjął nakoniec zakonnika śluby,

I został Mistrzem dla Zakonu zguby.

Jak rządził, wszyscy wicie; tej ostatniej zimy,

Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,

Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,

I tam iniewał z Witoldem tajemne rozmowy.

Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów,

Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,

Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą,

Lecz, sędziowie, on mówił językiem Litwinów.

Zważywszy, co nam tajnych sądów posły

Niedawno o tym człowieku doniosły,

I o czem świeżo mój szpieg donosi,

I wieść już ledwie nie publiczna głosi:

Sędziowie! ja na Mistrza zaskarżenie kładę

O fałsz, zabójstwo, herezję i zdradę.» —

Tu oskarżyciel przed Zakonu księgą  
 Ukląkł, i wsparłszy się na krucifiks ręką,  
 Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,  
 Na Boga — i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;  
 Lecz nie ma głosów, ni cichej rozmowy,  
 Ledwie rzut oka lub skinienie głowy  
 Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.  
 Każdy z kolci zbliżał się do tronu,  
 Ostrzem sztyletu na księdze Zakonu  
 Karty przerzuczał, prawa cicho czytał,  
 O zdanie tylko sumienia zapytał,  
 Osądził, rękę do serca przykładając,  
 I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!  
 I trzykroć echem powtórzyły mury:  
 Biada! — W tem jednym, jednym tylko słowie  
 Jest cały wyrok; pojęli sędziowie,  
 Dwanaście mieczów podnieśli do góry  
 Wszystkie zmierzone — w jedną pierś Konrada  
 Wyszli w milczeniu, a jeszcze raz mury  
 Echem za nimi powtórzyły — biada!

---





## VI.

### P O Ż E G N A N I E.

---

Zimowy ranek — wicherzy się i śnieży;  
Wallenrod leci wśród wichrów i śniegów,  
Zaledwie stanął u jeziora brzegów;  
Woła i mieczem bije w ściany wieży,  
«Aldono, woła, żyjemy Aldono!  
Twój miły wraca, wypełnione śluby,  
Oni zginęli, wszystko wypełniono.»

#### PUSTELNICA.

Alf? to głos jego! mój Alfie, mój luby,  
Jakże! już pokój? ty powracasz zdrowo?  
Już nie pojedziesz?

## KONRAD.

O! na miłość Boga,  
 O nie nie pytaj! słuchaj, moja droga,  
 Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo  
 Oni zginęli — widzisz te pożary?  
 Widzisz? to Litwa w kraju Niemców broi;  
 Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.  
 Trafiłem w serce stugłowej poczwary;  
 Strawione skarby, źródła ich potęgi,  
 Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło —  
 Jam to uczynił; dopełnił przysięgi!  
 Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło.  
 Ja więcej nie chcę, wszak jestem człowiekiem!  
 Spędziłem młodość w bezecnej obłudzie,  
 W krwawych rozbojach — dziś schylony wie-  
 kiem,  
 Zdrady mię nudzą, niezdolny do bitwy —  
 Już dosyć zemsty — i Niemcy są ludzie.  
 Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy;  
 Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,  
 Kowieński zamek, już tylko ruiny,  
 Odwracam oczy, przelatuję cwałem,  
 Biegę do owej, do naszej doliny.  
 Wszystko jak dawniej, też laski, te kwiaty;  
 Wszystko jak było owego wieczora,

Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.  
 Ach! mnie się zdało że to było wczora!  
 Kamień, pamiętasz ów kamień wyniosły,  
 Co niegdyś naszych przechadzek był celem?  
 Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły,  
 Ledwie go dostrzegł, osłoniiony zieleń,  
 Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;  
 Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju  
 Lubiałś spocząć między jaworami;  
 Źródło, gdzie szukał dla ciebie napoju;  
 Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.  
 Nawet twój mały chodnik zostawiono,  
 Com go suchemi wierzbami ogrodził.  
 Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!  
 Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,  
 Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa,  
 I liście na nich wiosenne powiewa,  
 I młodych kwiatków unoszą się puchy.  
 Ach! na ten widok pociecha nieznana,  
 Przeczucie szczęścia serce ożywiło —  
 Całując wierzby, padłem na kolana,  
 Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!  
 Obyśmy w strony ojczyste wróceni,  
 Kiedy litewską zamieszkamy rolę,  
 Odżyli znowu! niech i naszą dolę  
 Znowu nadziei listek zazieleni.

«Tak! wróćmy, pozwól, mam w Zakonie władzę,  
 Każę otworzyć — lecz po co rozkazy?  
 Gdyby ta brama była tysiąc razy  
 Twardszą od stali, wybije, wysadzę;  
 Tam cię, o luba! ku naszej dolinie,  
 Tam poprowadzę, poniosę na rękę,  
 Lub dalej pójdziem; są w Litwie pustynie,  
 Są głuche cienie białowieskich lasów,  
 Kędy nie słyhać obcej broni szczęku,  
 Ani dumnego zwycięzcy hałasów,  
 Ni zwyciężonych braci naszych jęku.  
 Tam w środku cichej, pasterskiej zagrody,  
 Na twojem rękę, u twojego łona  
 Zapomnę, że są na świecie narody,  
 Że jest świat jakiś — będziem żyć dla siebie.  
 Wróc, powiedz, pozwól.» Milczała Aldona,  
 Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.  
 W tem krwawa jutrznia błysnęła na niebie:

«Aldono przebóg! ranek nas uprzedzi,  
 Zbudzą się ludzie, i straż nas zatrzyma;  
 Aldono!» wołał, drżał z niecierpliwości,  
 Głosu nie stało, błagał ją oczyma,  
 I załamane ręce wzniosł do góry,  
 Padł na kolana, i żebrząc litości,  
 Objął, całował zimnej wieży mury.

## PUSTELNICA.

«Nie, już po czasie — rzekła smutnym głosem  
 Ale spokojnym — Bóg mi doda siły,  
 On mię zasłoni przed ostatnim ciosem!  
 Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,  
 Nie zstąpić z wieży, chyba do mogiły.  
 Walczyłam z sobą; dziś i ty, mój miły,  
 I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu.  
 Chcesz wrócić na świat, kogo? nędzną marę!  
 Pomyśl, ach pomyśl! jeżeli szalona  
 Dam się namówić, rzucę te pieczarę,  
 I z uniesieniem padnę w twe ramiona,  
 A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz:  
 Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz:  
 Ten straszny upiór jestże to Aldona?  
 I będziesz szukał w zagasłej źrenicy,  
 I w twarzy, która — ach! myśl sama razi —  
 Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy  
 Pięknej Aldonie oblicza nie kazi.

«Ja sama — wyznam — daruj, mój kochany,  
 Ilekroć księżyc żywszem światłem błyska  
 Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany,  
 Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć zbliska.  
 Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,

Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,  
 Gdyś wjechał w zamek z naszymi orszaki;  
 Lecz dotąd w mojem zachowałeś łonie  
 Też same oczy, twarz, postawę, szaty.  
 Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,  
 Na wieki całą zachowuje postać.  
 Alfie, nam lepiej takimi pozostać,  
 Jakimi dawniej byliśmy, jakimi  
 Złączym się znowu — ale nie na ziemi.

«Doliny piękne zostawmy szczęśliwym!  
 Ja lubię moją kamienną zaciszę;  
 Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,  
 Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.  
 I w tej zaciszy można, Alfie drogi,  
 Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić —  
 Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,  
 Staraj się częściej i raniej przychodzić.

«Gdybyś — posłuchaj — około równiny  
 Chłodnik podobny owemu zasadził,  
 I twoje wierzby kochane sprowadził,  
 I kwiaty, nawet ów kamień z doliny,  
 Niech czasem dziatki z pobliskiego siola,  
 Bawią się między ojczystymi drzewy,  
 Ojczyste w wianek uplatają zioła;

Niechaj Litewskie powtarzają śpiewy.  
 Piosnka ojczyzna pomaga dumanu,  
 I sny sprowadza o Litwie i tobie;  
 A potem, potem, po mojem skonaniu,  
 Niech przyśpiewują i na Alfa grobie.»

Alf już nie słyszał — on po dzikim brzegu  
 Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.  
 Tam góra lodu, tam puszcza go nęci —  
 W dzikich widokach i w nagłonym biegu  
 Znajdował jakąś ulgę — utrudzenie.  
 Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;  
 Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie,  
 I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił ma miejskie okopy,  
 Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada —  
 Cień krąży dalej i cichemi stopy  
 Wionął po śniegu, w okopach przepada,  
 Głos tylko słyszeć: — «biada, biada, biada!

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,  
 Pomyślił chwilę — i wszystko zrozumiał.  
 Dobywa miecza i na różne strony  
 Zwraca się, śledzi niespokojnem okiem;  
 Pusto do koła, tylko przez zagony



Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał,  
 Spójrzy ku brzegom, staje rozrzewniony;  
 Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem  
 Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była.  
 — «Dzień dobry, krzyknął, przez tyle lat z sobą  
 Tylkośmy nocną widzieli się dobą;  
 Teraz dzień dobry — jaka wróżba miła!  
 Pierwszy dzień dobry, po latach tak wielu.  
 Zgadnij, dla czego przychodzę tak rano?»

ALDONA.

«Nie chcę zgadywać, bądź zdrów, przyjacielu,  
 Już nazbyt światło, gdyby cię poznano —  
 Przestań namawiać — bądź zdrów, do wieczora.  
 Wyniść nie mogę, nie chcę.»

ALF.

«Już nie pora!  
 Wiesz, o co proszę? — zrzucić jaką gałaskę —  
 Nie, kwiatów nie masz, więc nitkę z odzieży;  
 Albo z twojego warkocza zawiąskę,  
 Albo kamyczek ze ścian twojej wieży;  
 Chcę dzisiaj — jutro nie każdemu dożyć —

Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,  
 Który dziś jeszcze był na twojem łonie,  
 Na którym jeszcze świeża łeska płonie.  
 Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć,  
 Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem —  
 Mam zginąć wkrótce, nagle; zgińmy razem.  
 Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę?  
 Tam będę mieszkał; dla znaku, co rano,  
 Wywieszę czarną chustkę na krużganek,  
 Co wieczór lampę u kraty zaświecę:  
 Tam wiecznie patrzaj, jeśli chustkę zrzucę,  
 Jeżeli lampa przed wieczorem skona;  
 Zamknij twoje okno — może już nie wrócę.

Bądź zdrowa» — odszedł i zniknął. Aldona  
 Jeszcze pogląda zwieszona u kraty;  
 Rano przeminął, słońce zachodziło,  
 A długo jeszcze w oknie widać było  
 Jej białe z wiatrem igrające szaty,  
 I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

«Zaszło nakoniec» rzekł Alf do Halbana,  
 Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,  
 W której zamknięty od samego rana  
 Siedział, patrząc w okno pustelnicy:

«Daj mi płaszcz, szablę, bądź zdrów, wierny  
sługo,

Pójdę ku wieży — bywaj zdrów na długo,  
Może na wieki. Posłuchaj Halbanie,  
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,  
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie.  
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić —  
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie  
Nie mam nikomu, nigdzie, nie powiedzieć  
W godzinę skonu — prócz jej i prócz ciebie.  
Bądź zdrów Halbanie, ona będzie wiedzieć,  
Ty rzucisz chustkę, jeśli jutro rano —  
lecz cóż to? słyszysz — w bramę kołatano.»

«Kto idzie?» trzykroć odzwierny zawołał.  
«Biada!» krzyknęło kilka dzikich głosów;  
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał.  
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.  
Już orszak dolne krużganki przebiega,  
Już przez żelazne pokręcone wschody,  
Do Wallenroda wiodące gospody,  
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega;  
Alf zawaliwszy wrzeczadłem podwoje,  
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,  
Poszedł ku oknu — «stało się!» zawoła,  
Nalał i wypił — «starcze! w ręce twoje!»

Halban pobladnął, chciał skinieniem ręki  
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;  
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki,  
Opuszcza rękę — «To oni — już przyšli.»

«Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?  
I czego myślisz? masz nalaną czasę,  
Moja wypita; starcze! w ręce wasze.»  
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy.

«Nie, ja przeżyję — i ciebie, mój synu —  
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki.  
I żyć — ażebym sławę twego czynu  
Zachował światu, rozgłosił na wieki.  
Obieję Litwy wsi, zamki i miasta,  
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci:  
Bard dla rycerzy w bitwach — a niewiasta  
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci.  
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości  
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!»  
Na poręcz okna Alf ze łzami pada,  
I długo, długo ku wieży poglądał,  
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał  
Miłym widokom, które wnet postrada.  
Objął Halbana, westchnienia zmieszali  
W ostatniem, długiem, długiem uściśnieniu.

Już u wrzeczadzów słyhać łoskot stali,  
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

«Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie,  
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu —  
Oto jest starzec, kapelan Zakonu,  
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie.»

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,  
Lecz coraz blednie, pochyla się, skłania;  
Wsparł się na oknie, i tocząc wzrok hardy,  
Zrywa płaszczy, Mistrza znak na ziemię miota,  
Depce nogami z uśmiechem pogardy:  
«Oto są grzechy mojego żywota!

«Gotowem umrzeć — czegoż chcecie więcej?  
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?  
Patrzenie na tyle zgubionych tysięcy,  
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy.  
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów —  
Tam marzną waszych ostatki szeregów.  
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady,  
One się gryzą o szczątki biesiady.

«Ja to sprawilem; jakem wielki, dumny!  
Tyle głów hydry jednym ściąg zamachem!

Jak Samson jednym wstrząśnięciem kolumny,  
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem.»

Rzekł, spojrział w okno i bez czucia pada,  
Ale nim upadł lampę z okna ciska:  
Ta trzykroć kołem obiegając błyska,  
Nakoniec legła przed czołem Komrada;  
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,  
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy.  
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,  
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy,  
I przy tym blasku widać Alfa oczy,  
Już pobiełały — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany  
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany —  
Z czyjej to piersi? wy się domyślicie;  
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,  
Ze piersi, z których taki jęk wypadnie,  
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:  
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak struny lutni od tęgiego ciosu  
Zabrzmią i pękną: zmięszanemi dźwięki  
Zdają się głosić początek piosenki,  
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;  
Niechaj ją anioł harmonji w niebiosach,  
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

---

## OBJAŚNIENIA.

---





## OBJAŚNIENIA.

---

(Str. 9, w. 2.)

Z Marienburgskiej wieży zadzwoniono.

**Marienburg**, po polsku *Malborg*, miasto obrotne, niegdys stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do Rzeczypospolitej Polskiej, później oddane w zastaw margrabiom Brandeburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów Pruskich. W sklepach zamku były groby Wielkich Mistrzów, niektóre dotąd ocalały. *Voigt*, profesor królewiecki, wydał przed kilku laty historję Marienburga, dzieło ważne dla historii Prus i Litwy.

(Str. 9, w. 8, 9.)

Wielki krzyż — wielki miecz.

Insygnia Wielkich Mistrzów.

(Str. 10, w. 2.)

*Domy*, tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki po różnych krajach Europy rozrzucone.

(Str. 10, w. 9.)

*Gonić na ostre*, dawne wyrażenie polskie, *combattre à outrance*.

(Str. 14, w. 21, 22.)

Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy  
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

Wzrok człowieka, powiada *Cooper*, jeśli jaśniej wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z tej okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek usłyszał szelest, podniósł się i ujrzał z przestachem ogromnego tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznej postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojej strony siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu ze strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli, ale zaledwo uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu powrócił.

Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko, i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. *Bibliothèque Universelle*, 1827 *février*, *Voyage du capitaine Head*.

(Str. 16, w. 10.)

*Arcykomtur*, *Großkomthur*, najpierwszy urzędnik po wielkim Mistrzu.

(Str. 18, w. 5.)

*Jakaś nieznana pobożna niewiasta*. Kroniki owych czasów piszą o wicjskiej dziewicy, która przybywszy do Marienburga żądała, aby ją zamurowano w osobnej celi, i tam życia dokonała. Grób jej słynął cudami.

(Str. 20, w. 19, 21, 24.)

Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.  
Konrad, dzielnego imię Wallenroda,  
On Mistrzem naszym!

W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak *Winrich Kniprode* pozyskał wszystkie głosy, ponieważ kilku braci słyszało jakoby w grobach Mistrzów wołanie trzykrotne: *Vinrice! Ordo laborat!* — «Winrychu! Zakon w niebezpieczeństwie.»

(Str. 26, w. 13.)

*Zamek Swentoroga*, zamek Wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany *Znicz*, to jest ogień wieczny.

(Str. 38, w. 2.)

*Cieszymy się w Panu!* hasło uczt Zakonnych owego wieku.

(Str. 42, w. 8.)

*Pieśń Wajdeloty*. Obacz *Grażyna*, (wydanie Paryżkie r. 1844 str. 148), objaśnienie wiersza:

Jego, jakoby drugiego Mindowę  
Na ucztach wielbią Wajdeloci nasi —

Tam autor powiada: «Wajdeloci, Sigonoci, Lingustoni, zwali się kapłani, których obowiązkiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególnie w czasie jesiennych świąt kozła, opowiadać lub opiewać ludowi. Ze starzy Litwini i Prusacy lubili i uprawiali poezję, przekonywują o tem pieśni dawne w niezmiernej liczbie, dotąd między gminem pozostałe, i świadectwa dziejopisów. Czytamy w Strykowskiem, iż na pogrzebie książąt kapłan opiewał ich czyny; iż za czasów Miechowity powtarzano piosnkę o książęciu Zygmuncie, zabitym od kniaziów ruskich. Ale najciekawszy i najważniejszy w tem względzie szczegół znajduje się

w dziele niemieckiem: *Versuch einer Geschichte der Hochmeister. Berlin 1798.* Autor tej szacownej książki Becker, cytuje starożytną kronikę Wincentego Moguntczyka, który był nadwornym kapelanem wielkiego Mistrza Dusenera von Aufberg, i pisał dzieje swoich czasów (od r. 1346). Między innemi czytamy, iż podczas wielkiej uczty z okoliczności obioru wielkiego Mistrza Winrycha von Kniprode, Minensinger niemiecki śpiewał, uczczony oklaskami i złotym puharem. Tak dobre przyjęcie poety, zachęciło przytomnego Prusaka nazwiskiem Rizelus; prosił więc o pozwolenie śpiewania w ojczystym języku litewskim, i sławił dzieła pierwszego króla Litwinów Wajdewuta; Wielki Mistrz i Krzyżacy nie rozumiejąc i nie lubiąc mowy litewskiej, wysmiali poetę i dali mu w podarunku talerz pustych orzechów\*). Nie powinny więc zdawać się śmiesznemi twierdzenia Kotzebuego i Bohusza, iż literatura litewska bogatą być musiała w poezje bohaterskie i historyczne, chociaż do naszych czasów mało co doszło w tym rodzaju. W Prusach albowiem Krzyżacy pod karą śmierci zakazali urzędnikom i wszystkim zbliżającym się do dworu używać języka Litewskiego: wywołali z kraju razem z cyganami i żydami

\*) Kotzebue lubo przytacza tę powieść, zdaje się jednak wątpić o bytności rękopisu kroniki Wincentego. Wszakże w bibliotece Szczorsowkiej w zbiorze rozpraw studentów Gdańskich, jest pisemko niejakiego Tasehke pod r. 1735, gdzie autor cytuje kronikę Wincentego jakoby drukowaną we Frankfurcie i dowodzi, że wspomniany Wincenty nie był Moguntczykiem, ale Gdańszczaninem.

Wajdelotów, Litewskich Bardów, którzy sami dzieje narodowe znać i opiewać mogli. W Litwie znowu, za wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej i języka polskiego, dawni kapłani i mowa ojczysta poszła w pogardę i zapomnienie; odtąd lud prosty zamieniony w niewolnictwo i obrócony do roli, zarzuciwszy oręż, zapomniał też i o pieniach rycerskich, powtarzając stosowniejsze do teraźniejszego położenia swojego, treny i sielanki. Jeżeli zostawało coś z dawnych ich dziejów i poczci bohaterskiej, to w domowych tylko zagrodach, albo w czasie obrzędów zdawna z zabobonnością połączonych w tajemnicy gminowi udzielano. Symon Crunau — XVI wieku trafił przypadkiem w Prusach na ucztę kozła, i ledwo uprosił życie, przysięgłszy wieśniakom, iż nikomu nie wyda tego, co ujrzy lub usłyszy. Wtenczas po spełnionej ofierze stary Wajdelota zaczął śpiewać dzieje dawnych bohaterów Litwy, mieszając nauki moralne i modły. Crunau, który dobrze po litewsku rozumiał, wyznaje, iż nie podobnego nie spodziewał się usłyszeć z ust Litwina, taka była piękność rzeczy i wysłowienia.»

(Str. 44, w. 9.)

*Staje wiadomie morowa dziewczica.* Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewczicy, której zjawienie się opisane tu według powieści gminnej, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniej, słyszaną niegdyś w Litwie balladę. «We wsi zja-

wiła się morowa dziewczica, i według zwyczaju przez drzwi lub okno wsuwając rękę, i powiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się warownie; ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc czekali śmierci. Pewny szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich, wziął szablę zygmontówkę, na której było *imię Jezus, imię Marja*, i tak uzbrojony otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszydłu rękę, i chustkę zdobył. Umarł wprawdzie i cała jego rodzina wymarła, ale od-tąd nigdy we wsi nie znano morowego powietrzą.» Chustka owa miała być zachowaną w kościele nie pomnę jakiego miasteczka. Na wschodzie przed zjawieniem się dżumy, ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza, i palcami wytykać skazanych na śmierć. Zdaje się że imaginacja gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nie tylko pojedyncze osoby, ale całe narody częstokroć dzielają. Tak w Grecji przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponeskiej, w państwie rzymskiem upadek monarchji, w Ameryce przybycie Hiszpanów, i t. d.



(Str. 51, w. 19.)

*Miałem imię Waltera.* Walther von Sladion rycerz niemiecki, wzięty w niewolę od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta, i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się naj-sroższymi Niemców nieprzyjaciołmi. Takim był pamiętny w dziejach Zakonu Prusak Herkus Monte.

(Str. 79, w. 1.)

*Wojna.* Obraz tej wojny skreślony podług historii.

(Str. 84, w. 21.)

*Trybunał tajemny.* W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wszelkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słabą na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie nie znając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciołom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadamiiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek w jego obecności: *wch! biada!* To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się

na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem *femicznym* (*Uemgericht*) albo *Westfalskim*. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola Wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucję całkiem obalono.

\* \* \*

Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo charaktery działających osób, i wszystkie ważniejsze wspomniane w niej zdarzenia skreślone są podług historii. Owoczesne kroniki w częściowych rozerwanych spisach, nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik, Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnej w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jej członka. Miał być czymś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada: *er war ein Pfaffenkind*. O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo,

pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, i nawet nienawiść ku duchownym. Er war ein rechter Leuteschinder. (Kronika biblioteki Wallenroda.) Nach Krieg, Sank und Hader hat sein Herz immer geslanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von wegen seines Ordens seyn sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen (Dawid Lucas). Er regierte nicht lang, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer. Z drugiej strony przyznają mu ówczesni pisarze wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać wśród powszechnej nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy Zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą; bo Witold przyrzekł sam Niemców na Wilno prowadzić, i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę; co gorsza, zraził Witolda i tak mu niebacznie zaufał, że ten książę pogodziwszy się tajemnie z Jagiellą, nie tylko z Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomysłnej zamianie okoliczności, należało wojnę zaniechać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki Mistrz ogłasza krucjatę, wysypuje skarby Zakonu na przygotowania (5,000,000 Mark, około miljona złotych węgierskich, summa na owe czasy niezmierna), ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdo-

być, gdyby czasu na ucztach i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień. Wallenrod zostawiwszy obóz bez żywności, w największym bezładzie uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, nie znajdują w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda pomieszanu rozumowi. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatera dają się pogodzić, jeśli przypuścimy, że był Litwinem, i że wszedł do Zakonu aby się nad nim zemścić. Jakoż panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Marienburgu. Wallenrod umarł r. 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. *Er starb, powiada kronika, in Raserei, ohne lehte Celung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Hogat durchbrachen ihre Dämme . . . hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pillau steht.* Halbana czyli jak go zowią kronikarze Doktor Frander von Albanus, mniich, jedyny i nieodstępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był podług kronikarzy heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana nie ma pewnych wiadomości.

Niektórzy piszą że utonął, inni, że uszedł tajemnie, lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziliśmy po większej części z dzieła Kotzebue: *Preussens Geschichte, Belege und Erläuterungen*. Hartknoch, nazywając Wallenroda *unsinnig*, bardzo krótką daje o nim wiadomość.

\* \* \*

Lubo rodzaj wiersza, użyty w *powieści Wajdeloty*, mało jest znany, nie chcemy wyklądać powodów, które nas do tej nowości skłoniły, aby nie uprzedzać zdania czytelników. Za miarę zgłosek uważaliśmy akcent zachowujący się w wymawianiu: radziliśmy się też uwag zawartych w ważnem dziele Królikowskiego. Wprawdzie w kilku miejscach odstępiliśmy od podanych przezeń prawideł, tłumaczyć się tu jednak z tego względu, nie poczytujemy za rzecz stosowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skandowanie:

Skąd Li | twini̇ wra | cają | z nocnej wra | cają wy |  
cieczki

Wiozą | łupy bo | gate | w zamkach i | cerkwiach zdo |  
łyte.

Sama nie | widzi co | robi | wszyscy mi | to powia |  
dają.

W budowie wiersza naśladowano heksametr grecki, z tą różnicą, że w miejscu spondeów (— —) używano najczęściej trocheów (— ∪), albo — ∪. W dwóch lub trzech miejscach daktyle zastąpione są przez *antibacchius* (— — ∪), którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długa, n. p. krzyk mojej matki.



Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

60 -

×KSIĘGARNIA×  
ANTYKWARIAT



■ E 487299 ■  
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

78315



Biblioteka WSP Kielce



0173293